

Aniela Ciemna

Aniela Brzozowska-Łukasiewiczowa – wieloletnia służąca i właściwie członek rodziny Gombrowiczów – ma już 87 lat*. Była rówieśnicą Janusza, najstarszego z braci Gombrowiczów, urodzonego w roku 1894.

Mimo to – jak mówią w jej rodzinnym Sokołowie Podlaskim – jest jeszcze w szyku. Nie przypomina niedołężnej staruszki. Mieszka sama i obywa się bez czyjejkolwiek pomocy. Opiekun społeczny posłał do niej pielęgniarkę środowiskową, grzecznie podziękowała. Chwała Bogu, sama jeszcze wszystko koło siebie robi: posprząta, nagotuje, wyciągnie wodę ze studni, pójdzie do sklepu i codziennie do kościoła – prowadzi kółko różańcowe.

Tyle tylko, że nie widzi już na jedno oko i pamięć dawno nie ta, lecz coś jednak powie. Było nie było, przeżyła z Gombrowiczami prawie trzydzieści lat.

Urodziła się w Sokołowie, ojciec był szewcem, miał czternaścioro dzieci. Siedmioro z pierwszą żoną, siedmioro z drugą. Nic więc dziwnego, że gdy miała piętnaście lat, starsza siostra, która urządziła się w Warszawie jako bona do dzieci, załatwiła jej posadę numerowej w lecznicy „Omega” na Marszałkowskiej. Pracowała tam kilka lat i w 1915 – z ogłoszenia – poszła stamtąd na pokojówkę do państwa Gombrowiczów. Odeszła z „Omegi”, ponieważ portier, w którym się kochała, zaczął umawiać się z inną numerową i nie mogła na to patrzeć.

A u państwa Gombrowiczów było jej więcej niż dobrze. Pokoik miała wprawdzie bez okna, przy kuchni, jednak samodzielny, nie jak w „Omedze”, gdzie mieszkaly we czwórkę. Płacili bardzo dobrze; przez lata, które u nich spędziła, uskładała sobie trochę grosza i posag: maszynę do szycia, pierzyne, poduszki. Najwięcej jednak pchała w kształcenie swojej siostrzenicy, bo szwagier szewc pił i o nic nie dbał. W niedzielę miała wychodne – odwiedzała siostry, które też poszły za chlebem do Warszawy.

Na robotę również nie narzekała – po prostu domowe zajęcia. Sprzątnąć, podać do stołu, napalić w kotle do centralnego ogrzewania, a przede wszystkim zakrzętnąć się wokół garderoby. Przygotować do prania, uprasować,

* Zmarła w 1987 r.

przyszyć guziki, w ogóle przyszykować do włożenia na grzbiet. Oprócz niej była także na przychodne gruba kuchmistrzyni pani Maria, praczka Józefa i na stałe – lokajczyk Pajda, syn dawnego lokaja państwa Gombrowiczów jeszcze z Bodzechowa. Długo jednak nie popracował – pan Janusz polecił go do żandarmerii, skąd wziął go na lokaja sam Paderewski, potem zabrał ze sobą do Szwajcarii.

Dopiero w 1933 po śmierci wielmożnego pana, czyli już na Chocimskiej, przybyło jej roboty. Pieniądzy było wtedy trochę mniej i wymówiono reszcie służby. Została sama. Prowadziła dom – robiła zakupy, gotowała – nauczyła się przy pani Marii. Wszystko było na jej głowie.

Zadomowiła się u Gombrowiczów na dobre. I nic dziwnego. Z wielmożnej pani była prawdziwa dama. Rozmawiała po niemiecku, francusku, urzędzała pięknie mieszkanie. Zawsze jednak „bujala w obłokach” i nie znała się na kuchni czy innych domowych sprawach. Za bardzo się nie wtrącała.

Z wielmożnym panem przemówiła się tylko raz. I to dopiero po dziesięciu latach pracy. Był bardzo punktualny, wymagał też tego samego od innych. O pierwszej przychodził do domu na obiad i wracał jeszcze potem do biura. Wszystko musiało być gotowe. Kiedyś – nie wiadomo już z czyjej winy – obiad się spóźnił, pan Gombrowicz powiedział jej kilka przykrych słów. Odpłaciła tym samym, po czym wymówiła w złości posadę. Rok pracowała u innych ludzi, dłużej jednak męczyć się nie mogła. Wróciła do Gombrowiczów. Przyjęli ją z powrotem jakby nigdy nic.

A gdy wielmożny pan umierał i leżał nieprzytomny, sparaliżowany, niczym kłoda, pielęgnowała go całymi dniami. Wielmożna pani i panna Rena uciekały, bały się umierającego. Lecz Aniela – i co najdziwniejsze, pan Witold – ani trochę. Bardzo jej wówczas pomagał. Zajmował się ojcem jak nigdy – nie brzydził się go, nie bał. Czuwał w sąsiednim pokoju: czytał coś albo nawet pisał. Chyba wtedy się najbardziej z Witoldem zaprzyjaźniła.

Choć z dzieci wielmożnych państwa najbardziej powinna lubić pannę Renę. Religijna, nieśmiała, szlachetna, prawdę mówiąc – niehabitowa zakonni- ca. I tak jak Aniela – stara panna. Nie pozwalała nawet sprzątać swego pokoju. – Sama to przecież mogę zrobić – mówiła i wyrzywała Anieli szczotkę z rąk.

Mimo to najwięcej serca miała jednak do Witolda. Była z nim bardziej zżyta niż z innymi służącymi z kamienicy, bo o czym mogła z nimi rozmawiać? To były proste, niepiśmienne wsiowe dziewczuchy. Ona tymczasem pochodziła z Sokołowa, czyli jednak z miasteczka, miała za sobą całą szkołę powszechną, a to dziś niemal jak gimnazjum. Czytała gazety, książki; przede wszystkim powieści.

Witold nie pozostawał jej dłużny, choć lubił i resztę służby, również i panią Marię. – Pani Mario, kuchmistrzynio! – mówił do niej, a ona zostawiała mu najlepsze kąski. Zagadywał nawet i do praczki Józefy, nie bardzo mu się to jednak udawało. Była nierozmowna, nierozgarnięta, głupia aż strach. Mówił na nią „babina od brudnej bielizny”.

Dlaczego właściwie tak Witolda lubiła, nie wiadomo. Był przecież niewierzący. Nie chodził do spowiedzi i komunii. Miała też wokół niego najwięcej roboty. Wnosił zamieszanie w ten spokojny dom. Brudził strasznie – w jego pokoju było pełno papierów, niedopałków, bo ciągle coś czytał albo pisał. I to najczęściej w łóżku. Zapominał wtedy o bożym świecie, nie słyszał, co się do niego mówiło. Siedział do późnej nocy, potem spał nawet i do pierwszej w południe. Gdy wychodził na miasto, dziwił się, że wszyscy dawno już na nogach, pracują. Nie przychodził rano na śniadanie i musiała chodzić z tacą do jego pokoju. Często czytał jej wtedy to, co napisał wieczorem. I słuchał, co mówiła. Kiedyś spóźnił się jak zwykle na śniadanie, posłała więc do jego pokoju.

– Skończyłem właśnie książkę – powiedział. – Tylko nie wiem jeszcze, jakie dać zakończenie. – Po czym przeczytał jej kawałek.

– Koniec i bomba, a kto czytał, ten trąba! – zaśmiała się.

Krzyknął, że to wspaniałe i dopisze to na zakończenie. Co też i zrobił – takie to widać były i książki.

– Aniela jest najinteligentniejszą osobą w tym domu – powtarzał od tego czasu.

Przepadał za tym, gdy mówiła po swojemu: „po sokołowsku”. Na przykład, że to czy tamto jest „do podziwienia”. To „do podziwienia” – i nie tylko to – bardzo mu się podobało. Też zaczął tak mówić.

– Sędziulku – dziwiła się – sędzia powinien mówić pięknie, po warszawsku! Lecz on się śmiał i mówił, że wręcz przeciwnie.

Najczęściej właśnie mówiła do niego „sędzio, sędziulku”. Nie per panie czy wielmożny panie, jak do jego starszych braci. Tak jak jego ojciec zawsze chciała, żeby był sędzią, nie pisarzem. Miała żal do wielmożnego pana, że dopłacił do pierwszej książki Witolda. Od biedniejszych nie żądano wcale, żeby dopłacali. Od niego natomiast jakiś – zdaje się – Wańkowicz wyciągnął całe trzysta złotych! Wiedział, że ojciec Witolda ma pieniądze, niech więc płaci za książkę synka. Co też i oczywiście zrobił.

A Witold nazywał ją rozmaicie. Bardzo często Anielą „Więc”, co do każdego niemal zdania wtrącała „więc”. Lecz gdy zwracała mu uwagę, była Anielą Ciemną.

– Sługo ciemna – krzyczał wtedy – winnaś szacunek swemu panu i chlebodawcy!

Nie mówił tego poważnie, mimo to nigdy nie pozostawała mu za coś takiego dłużna. Odpowiadała raz-dwa, a nigdy nie zdarzyło się jej stracić rezonu. Zawsze pierwsza ze wszystkich miała odpowiedź, i to nie byle jaką. Wymyślali sobie od ciemnych sług i jaśnie panów. A bywało, rzuciła w niego poduszką albo czymś, co akurat wpadło pod rękę. Gonił ją wtedy, gdy złapał – bili się, szarpali, kuksali. Choć powtarzał zawsze, że gdy sługa podniesie rękę na swego pana – ręka jej uschnie, pan natomiast straci przez to dotknięcie swoją błękitną krew. Przepadnie jego wyższość.

Pobili się na przykład, gdy wyszło na jaw, że czekoladki, którymi ją poczęstował, okazały się środkiem przeczyszczającym! I żeby to jeszcze zachował się tak tylko wobec niej. Nie ukrywał jednak, że poczęstował nimi znajome panienki od Platerówny, z którymi wybrał się na spacer do Ogrodu Saskiego. Doszły tylko do placu Piłsudskiego...

Bardzo lubił się z nią drażnić.

– Anielo Więc – pytał poważnym głosem – czy grasował tutaj dzisiaj kot?

– Jaki kot? – dziwiła się – na szczęście w tym domu nie ma kotów, wystarczy kłopotów z sędziulkiem...

Chodziło mu tymczasem o kuzyna Gucia Kotkowskiego, którego nazywał kotem...

Kiedy szła na zakupy, dysponował, jak mówił, jedno ciastko z cukierni, i to koniecznie starannie zapakowane. – Wybieram się do znajomych – tłumaczył – usiądę sobie w salonie, odwinę ciastko z papierka, zjem i będę się śmiał, widząc zgorzenie naokoło...

Gdy miał gości – rodzinę czy znajomych – ni stąd, ni zowąd otwierał swoją szafę z ubraniami. Niby to czegoś szukał: – Ach, to tylko jedna czwarta tego, co mam... Choć przecież było to wszystko – wiedziała o tym najlepiej.

Kiedyś znów poszedł na wieczorek do jednej z kuzynek Kotkowskich, która zaprosiła swoje koleżanki z gimnazjum. Gdy wrócił, opowiadał, jakie wywołał zamieszanie – ugryzł w ramię pulchną panienkę, krzyknął: – Kobieta szampan! – Panienska wystraszyła się, matki siedzące pod ścianą narobiły krzyku...

Nie dawał też spokoju wielmożnej pani. Ile razy powiedziała na przykład, że ma takie i takie zdanie, a on zaraz, że czytał to w tej czy tamtej książce, co też natychmiast jej udowadniał. Przez nią chyba stracił wiarę. Była bardzo religijna, może nawet za mocno przypominała mu, co jest grzechem. On natomiast przepadał za robieniem jej na złość. Nie mówił do niej inaczej, tylko: „Matko, moja matko!”. Do babki zresztą tak samo: „Babko, moja babko!” – starsza pani Kotkowska, matka wielmożnej pani, mieszkała z nimi jakiś czas.

Z panną Reną podobne zabawy mu nie wychodziły, nawet ich prawdę mówiąc nie zaczynał. Żeby nie wiem co jej powiedział – zawsze go rozgrzeszała, nie podnosiła na niego głosu. Traktowała jak młodszego, nie najmłodszego brata. Tak samo jak swoich podopiecznych, pracowała przecież z potrzebującymi zrozumienia i pomocy: kalekami, sierotami, wariatami...

I tak można by o nim opowiadać godzinami. Bo cóż, robił sobie żarty, albo pisał lub czytał w swoim pokoju. Nie musiał zarabiać na chleb.

W 1939 wyjechał do Ameryki, bo chciał być jak najdalej – czuł, że w powietrzu wisi wojna. A wojsko było ostatnią rzeczą, do której się nadawał.

Fizycznie był chuchrem. Na wakacjach w Jastarni wypłynął kiedyś łódką w morze z kuzynką Stasią Cichowską i nie miał siły wrócić. Panna Stasia musiała łapać za wiosła, dzięki niej przybili jakoś do brzegu. Całe szczęście, nie umiał przecież pływać.

Namawiał na wyjazd i pana Janusza, który miał głowę do interesów, tymczasem w Ameryce, wiadomo, są dla takich duże możliwości. Pan Janusz jednak nie chciał, miał rodzinę, musiał pilnować swego majątku – Potoczka.

Witold popłynął polskim statkiem, akurat zaczęła się moda na takie wycieczki, pojechał więc i on. Wziął nawet porządną wyprawę; frak, smoking, dwa letnie ubrania, dwa cieplejsze swetry, chyba wszystkie lepsze buty. I parę tysięcy złotych, czyli sporo jak na tamte czasy, za cztery złote dostawało się wówczas dolara.

Ona natomiast została z wielmożnymi paniami. Przeszła z nimi okupację, Powstanie Warszawskie. Straciła swój posąg. Co najdziwniejsze jednak, wielmożna pani, która tak nawykła do wygod, a straciła więcej niż Aniela, była bardzo dzielna. Nie narzekała, nie rozpaczała, no, może raz, gdy w obozie w Pruszkowie oblaży ją strasznie wszy.

Bardziej niż nalołów i ognia bała się o Witolda. Jak sobie radzi? A przecież ulica Moniuszki, gdzie się schroniły, była jednym wielkim morzem ognia – w „Adrii” znajdowała się kantyna powstańcza. Cudem przeszły stamtąd do piwnicy na Chmielną, gdzie przesiedziały do kapitulacji. Reszta rodziny: pan Janusz, jego syn, pasierbica, którzy byli w tym czasie na Powiślu, trafili do niewoli. Byli przekonani, że Aniela oraz wielmożna pani z Reną nie przeżyły powstania. Odnaleźli się dopiero przez Czerwony Krzyż. Rozstała się z wielmożnymi paniami w 1944 roku w obozie w Pruszkowie – wzięli ją na roboty do Niemiec. Miała już wprawdzie swoje lata, ciągle jednak wyglądała dobrze, zdrowo. Pożegnały się i nigdy więcej się już nie widziały.

W Niemczech nie była długo, przyszli wkrótce Amerykanie, wojna się skończyła. Wróciła do swego Sokołowa – Warszawa była przecież w gruzach, nie wiedziała, co z wielmożnymi paniami, czy żyją, czy nie.

Świat jest jednak mały. Jedną z sióstr Anieli los rzucił do Radomia, gdzie miała mały prywatny sklepik, którego długo jej nie upaństwowiono. Siostra napisała jej kiedyś, że w Radomiu mieszka pan Jerzy z rodziną, a wielmożne panie biedują gdzieś w Kielcach. Co więcej, pan Janusz siedzi w więzieniu radomskiego Urzędu Bezpieczeństwa, naprzeciwko jej sklepu. Oskarżyli go niby dworscy z majątku, jako elementowi „obcemu klasowo” grożą mu trzy lata. Gdy Gombrowicze – Januszowa, jej córka i panna Rena – przyjeżdżają do więzienia na widzenia, załatwione dzięki znajomej adwokatce, zawsze wstępują do jej sklepu, rozmawiają. Wielmożna pani Gombrowiczowa już się z Kielc nie ruszała, miała swoje lata.

Tak, wszystko wywróciło się do góry nogami!

U niej zresztą też. Na starsze lata, gdy miała już pięćdziesiąty szósty rok, podswatano jej dzieciatego wdowca, namówiono na małżeństwo. Posłuchała głupia, chciała przestać być wreszcie starą panną. Przeniosła się do domu męża i skończył się jej spokój. Pasierbowie ciągle wypominali, że weszła na ich ojcowiznę, mąż stawiał po ich stronie.

Zaczęła wobec tego starać się o rentę, żeby mieć swój grosz. Musiała jednak mieć świadków, papiery. Napisała przez siostrę z Radomia do wielmożnej panny Reny, która poświadczyła, że Aniela Brzozowska pracowała u jej rodziców, była ubezpieczona. Musiała jednak mieć jeszcze z kilku świadków, pojechała więc do Warszawy. Chwała Bogu, praczka Józefa mieszkała na Pradze w tym samym domu co i przed wojną. Dostała też od niej nowy adres byłego dozorczy kamienicy państwa Gombrowiczów na Wspólnej. Od niego natomiast adres pana Janusza, który, jak się okazało, mieszkał na Grochowie.

Odwiedziła go i przeraziła się. Pan z panów w takiej biedzie! Malutki pokój u obcych ludzi. A w nim tylko barłóg; nawet nie łóżko. Pan nieogolony, zaroił; istny pustelnik. Leżał przez cały czas jej wizyty – to była zawsze jego ulubiona pozycja.

On również poświadczył, że pracowała, i dostała rentę, którą bierze do dziś. Od tego czasu odwiedzała go zawsze, gdy przyjeżdżała do Warszawy. Wypytywała też o sędziulka, więc pan Janusz dał jej jego adres w Ameryce. – Sam Anieli wszystko najlepiej opisze – powiedział.

Pojechała też kiedyś do siostry do Radomia i przy okazji odwiedziła pana Jerzego, Jerzową oraz ich córkę, pannę Terenię. Żyli na szczęście lepiej od pana Janusza – pan Jerzy pisywał bowiem do gazet. Chciał też, tak jak Witold, pisać książki. Ile razy jednak zabrał się już za pisanie, zaraz miał chęć na drzemkę i szedł spać – raczej sobie nie żałował. Prowadził też w domu klub – goście płacili za wstęp, potem jedli, pili, grali na pieniądze w karty. Dzięki kartom nie było w tym domu biedy. Pani grała jak maszyna, każdego wieczoru zarobiła sto, dwieście złotych i następnego dnia starczało na zakupy.

A do Witolda napisała o swoich przeżyciach. Przede wszystkim to, że każdy człowiek popełnia w swoim życiu przynajmniej jedno wielkie głupstwo. Ona właśnie wyszła na stare lata za mąż i ma za swoje.

Odpisał nawet szybko. Wysłał też swoje zdjęcie. Ma to wszystko w pudełku po czekoladkach pod łóżkiem. To jego pierwszy list:

Aniela Ciemna

Jak tylko kopertę z Sokołowa zobaczyłem, zaraz pomyślałem, że to od Anieli list jest – i zaraz mi w pamięci stanęło, jak na Służewskiej z Anielą wojowałem i od Ciemnych i Sług wyzywałem z żartów naturalnie, bo bardziej Aniela przyjaciółką nam była. Dobrze to były czasy, kiedy JW. Ja do góry brzuchem leżałem, albo łajdaczylem się, albo z naszą Panią dyskutowałem, albo „Ferdydurke” pisałem a Aniela zawsze mnie wszystko przyszykowała.

Niech tam Aniela napisze obszernie, jak i co, odkąd się pożegnaliśmy na Chocimskiej, i jak Anieli teraz się w Sokołowie powodzi, jakiego męża ma i tak dalej.

Nasza Pani zmarła 25 lipca 59 r. bez większych cierpień, bo zresztą już i w wieku bardzo podeszłym. Tak że teraz z nas wszystkich tylko JW. Panowie pozostali, bo JW. Panie już na tamtym świecie. A JW. Januszowi rękę częściowo sparaliżowało i niezbyt dobrze się miewa (w Warszawie mieszka). JW. Jerzy i JW. Ja jakoś trzymamy się. Ja, jak Aniela widzi z fotografii (niezbyt dobra, ale innej nie mam), trochę skapcianałem, ale (jak z listu tego widać) niezbyt spoważniałem.

Teraz bardzo sławny jestem i z każdym rokiem coraz sławniejszy, bo moje książki we Francji, Niemczech, Anglii, Stanach Zjednoczonych, Włoszech i w innych krajach wydają, artykuły o mnie w największych gazetach świata się ukazują jako o największym polskim pisarzu i jednym z najważniejszych w świecie. Tylko w Polsce o mnie gazety bardzo mało piszą – łatwo zgadnąć dlaczego – i właśnie we własnym kraju najmniej jestem znany. Ale jak skonam, pewnie mnie w końcu na Wawelu pochowają, jak Słowackiego.

Argentyna przyjemny kraj, ciepły, bogaty, mieszkam w dużym pokoju, podnajętym, ładnie umeblowanym i tak samo prawie żyję, jak w Warszawie, po południu piszę, czytam, wieczorem najczęściej do kawiarni idę. Moje książki dużo mi sławy przysparzają, ale mniej pieniędzy, bo tylko dla Jaśniejszych pisane, nie dla Ciemniejszych, więc sprzedaż wolno idzie. Ale coraz więcej mam pieniędzy i myślę do Paryża się przenieść za jakiś czas.

Mam nadzieję, że Aniela mnie fotografię przysle i obszernie napisze. Ja mało mam czasu na pisanie listów, bo nieraz na 7, 8 dziennie muszę odpowiadać, ale zawsze Anielę czule wspominam i z wielką przyjaźnią. Nisko kłaniam się (niech Aniela nie myśli że w nie wyprasowanych spodniach chodzę, to taki garnitur ze specjalnego materiału, który zawsze wygląda jak psu z gardła wyciągnięty). Uszanowanie.

21 Maj 1961

Witold G.

Mąż Anieli ciężko zachorował. Gdy zmarł, pasierbowie tak jej dokuczali, że się wyniosła, choć miała przecież prawo do swojej części domu, gospodarki. Wynajęła pokój u Stanisława Włodawca, znajomego gospodarza, gdzie mieszka do dziś. Dopiero wtedy odpisała Witoldowi. A to jego drugi list, już z Francji:

Aniela Ciemna: tak już Anielę do samej śmierci Anieli i mojej będę nazywał. Bardzo mi przyjemnie, że Aniela napisała, nie odpisałem zaraz, bo we Włoszech byłem, stąd bardzo blisko. Widzę, że Aniela jako tako jeszcze się trzyma, ja też, choć astma mnie przydusza, ale nie tak silnie jak Renę biedaczkę. Pan Janusz, czyli Janusz, już w grobie i to lepiej, bo ostatnie lata ledwo zipał, na szczęście

śmierć dość lekką miał. Dobrze, że Aniela o sobie opowiedziała, przynajmniej wiem, jak to było.

O mnie też pewnie Anieli w Warszawie i Radomiu coś niecoś opowiedzieli. Teraz tu mieszkam z jedną Kanadyjką, co na fotce, bardzo póki co o mnie dba, mieszkanie mamy, psa Psinę, tu bardzo ładnie, ciepło, morze, góry, do morza mamy 6 klm, a góry tuż za oknem, w dole palmy, róże, mimozy, w górze śnieg. Okolice bardzo bogata, z całego świata ludzie przyjeżdżają. Lepiej mi się powodzi, bo już moje książki we wszystkich językach się ukazują, nawet po japońsku, tylko jakoś w Polsce nie mam powodzenia, ale może i to przyjdzie. Ale dużo pieniędzy z tego nie ma, bo ja nie dla ciemniejszych, a tylko dla samych rozjaśnionych, więc mało kto kupuje. „Ferdynand” bardzo sławna się stała i nierzadko w wywiadach mówiłem, że „Koniec i bomba, a kto czytał, ten trąba!” jak na końcu stoi, to Aniela mnie powiedziała.

Wszystko byłoby nie tak źle, ale człowiek skapcaniał, wprawdzie ataków silnych astmy nie mam, ale powietrza brak i muszę lekarstwa brać. No, Aniela, z Panem Bogiem, kłaniam się i serdecznie pozdrawiam. W osobnej kopercie fotkę przesyłam, zobaczmy czy dojdzie.

Witold Gombrowicz

15.02.68

Doszła. Ma ją do dziś. Ona na niej taka ładna, młoda, on już stary, zmęczony, lecz nadal piękny.

Wielmożni państwo Gombrowiczowie byli przepiękną parą. Kiedy jako młodzi pojawiali się na balach, goście bili im brawo. Dzieci – z wyjątkiem panny Reny – odziedziczyły ich urodę. I nie traciły jej z biegiem lat. Przeciwnie, zarówno pan Janusz, jak i Jerzy, nie mówiąc już o Witoldzie, również i w starszym wieku wyglądali na prawdziwych panów – nadal te twarze i postacie piękne, szlachetne. Od razu widać było, że sroce spod ogona nie wypadli.

Szybko odpisała, lecz Witold milczał. I wkrótce, latem 1969 roku, przeczytała w którejś z naszych gazet, że zmarł. Napisał jej przecież, że pan Janusz w grobie, tak że nie jeździła już do Warszawy. Bo do kogo? Nie wiedziała nawet, że nie żyje również i pan Jerzy. Nie czyta tak jak dawniej gazet ni książek – nie widzi na jedno oko.

* * *

Myśli o Gombrowiczach bardzo często. Przeżyła w końcu z nimi tyle lat. Mimo to dopiero dziś wie, że nie знаła właściwie Witolda.

Nigdy nie mówiła o tym wielmożnej pani, nie chciała jej martwić. Lecz gdy wyjechał, nie wierzyła, że da sobie radę. Taki paniczek, kawalarz? Zginie jak ruda mysz. Nie potrafił właściwie nic – podawało mu się nawet herbatę, opierało od stóp do głów. Nigdy nie musiał zarabiać na życie, był bardzo nieżyłowy, niezaradny.

Wziął przecież ze sobą kilka tysięcy złotych, trochę dolarów. Inny zaraz w coś by to zainwestował, w końcu to Ameryka. On tymczasem – jak pisał potem – wydał to po prostu przez pierwszy rok, został goły niczym święty tu-recki. Pan Janusz chciał mu nawet coś słać – podczas okupacji siedział jeszcze w swoim majątku. Ale w 1943 musiał stamtąd uciekać, po wojnie nie miał już z czego.

A jednak Witold dał sobie radę. Nauczył się hiszpańskiego, wysiedział – o co go nie posadzała – tyle lat na posadzie referenta w banku. Napisał wiele książek i obeszło się bez żadnych pieniędzy ojca. Podobno stał się sławny na cały świat. O jego śmierci pisały nawet gazety.

Ciekawe, skąd miał tyle siły?

Zawsze też myślała, że nie lubił swojej rodziny. Tymczasem nie tylko pisał często do wielmożnej pani i panny Reny, lecz także słał dolary. A pana Janusza niemalże utrzymywał.

Potem już ta jego Kanadyjka wzięła te sprawy w swoje ręce. Też jednak pamiętała o panu Januszu. Gdy Aniela kiedyś go odwiedziła, akurat – zamiast kwartalnej raty – Rita wysłała mu białych pięknych, karakułowych łapek. Pan Janusz bardzo się cieszył, dostał już od niej taką paczkę drugi raz i wyszedł na karakułach lepiej niż na dolarach, choć miał trochę kłopotów. Pytał nawet Anieli, czy nie znalazłaby mu dobrego kupca.

I ona, i pan Janusz cieszyli się, że Witold znalazł sobie nareszcie taką życiową kobietę, bo tego mu przede wszystkim było brak. Teraz już nie zginie na pewno, myśleli.

Co najdziwniejsze jednak, ona właśnie, Aniela, Ciemna, przeżyła wszystkich Gombrowiczów. Nawet młodszych od siebie: pannę Renę, pana Jerzego, Witolda. Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że tak będzie.

Witold lubił często używać francuskich słów. Był – jak mówił – „guwernowany”. A już najczęściej wtrącał słowo „prowidas” (*providence*). Dosłownie niemal do co drugiego zdania. – Co to znaczy, sędziulku? – pytała. – Opatrzność, sługo – tłumaczył. – Wszystko jest w rękach opatrzności.

I słusznie mówił, choć przecież niewierzący.